

Przemysław Walczak

## Przypadki Waldemara

– Żyjemy w podłych czasach – myślał czasem Waldemar, pięćdziesięciolatek z otyłością brzuszna, gdy rozsiadał się na pokrytej liszajem starej farby lawce, wystawianej latem przed altanę. Wieki temu zbudowanej na środku niewielkiego ogródka działkowego na wrocławskim Olbinie. Ze szwagrem budowali.

– Dobrze, że pomidory w tym roku się udały. Aż słodkie! – skwitował z uznaniem sam dla siebie.

Waldemar siedział teraz w poplamionej koszulce, ćmiąc papierosa, chleptając tanie i ciepłe piwo z dyskontu albo ruskiego szampana; gładził przy tym zakurzone wąsy, głąskał spoconą twarz. Zdjął niezgrabne buty ze skóropodobnego plastiku i wsunął wielkie stopy, niczym łapy dzikiego zwierzęcia, w wygodniejsze klapki.

– Kiedyś to było, a dziś? Czasy jakieś ciężkie i nieludzkie nastały. Kiedyś ludzie lepsi byli dla siebie. Teraz powariowali wszyscy. Uczciwą pracą się brzydzą, wyśmiewają. Gdzieś się spieszą, cholera wie, gdzie i za czym. Na dodatek nic nie smakuje już jak kiedyś. Słońce nie świeci już tak pięknie, niebo nie tak błękitne, cukier nie tak słodki, pomidory niby malinowe, a mniej soczyste, pośladki mijanych na ulicach kobiet nie tak pełne jak niegdyś. Nawet Polska już nie jest Polską. Chuj wie, czym teraz jest. Tylko wszędzie ci Ukrole. Chleją, mordy drą, jeszcze kradną, panoszą się. A wcześniej tyle nieszczęść przez komuchów, Żydów, Balcerowiczów i innych liberalów. I jeszcze tymi masztami pięć-gie chcą depopulację nam urządzić i tęczowym lewactwem wynarodowić, jak plagę kurewską na nas zrzucić, zagranicznym niezdrowym jedzeniem w choróbska nieuleczalne wpeździć. W raka i adidasa. Chcą nam zmieniać pleć. I na koniec drożyną wykończyć, bo w Kauflandzie masło już ponad siedem złotych, a rzepakowy olej też podrożał, cukier i majonez tak samo – stwierdził rozgoryczony Waldemar i kilka chwil jeszcze telepał nim ten paroksyzm resentmentu. Z rozrzewnieniem wspominał za to pracę w fabryce wielkiej płyty, którą zabudowano potem – Popowice i Kozanów. Pośród łąk i rozlewisk rzecznych, wypiętrzając blokowiska niczym żelbetonowe łańcuchy górskie.

Jesienią Waldek rozstawiał na działce swoją wędzarnię i szykował wędliny. Z wędzarni wypływała wtedy strużka

szarego, drzewnego dymu. W bezwietrzne dni tworzyła siwą kołderkę, okrywającą altanę i Waldka.

– Mięsko najlepsze. Od rzeźnika. Dobre, bo polskie, a nie jakieś tam niemieckie świnię, co je nam, Polakom, w zagranicznych supermarketach sprzedają. Gówno wciskają, bo sami żreć tego nie chcą. A tu zdrowe i polskie mięsko z polskiej świnki. Od rzeźnika, od Heńka i od kumpla, co go jeszcze od małego znam, bo się razem na podwórku ganiałiśmy, na trzepaku wywijaliśmy akrobacje. Heniek Szponder, najlepszy rzeźnik w okolicy. Karkóweczkę to on nawet samemu księdzu proboszczowi dostarcza, a do ust konsekrowanych i żołądków, jak wiadomo, byle co trafiać nie może – mówił Waldek, oczekując uznania w oczach rozmówcy, gdy tak zachwalał pokawalkowane martwe tkanki, oferowane proboszczowi przez Heńka, najlepszego rzeźnika w okolicy. Do tego tylko zimna wódeczka i ogórki kiszzone. Własnego wyrobu, do nich tylko chrzan trzeba ukopać, co rośnie dziko. Taki najlepszy. I najzdrowszy. Nie byle co z supermarketów.

Waldek mieszkał w obdrapanej kamienicy, ledwie kwadrans spacerem od Rynku, ale nie odczuwał z tego powodu zadowolenia. Nie podobał mu się ten wieczorny zgiełk wokół knajp, na które pewnie nie było go stać. Nosił się Waldek w sposób, który sprawiał, że zawsze ubrany był zbyt ciepło jak na porę roku. Pasował do jakiegoś najsmutniejszego zakątka Polski, gdzie nie sięgają mapy Google'a, a ludzkie twarze powykrzywiane są w grymasie zmęczenia, zawiści i bólu zęba. Mieszkał w kamienicy, miał tajemniczą sąsiadkę imieniem Jadwiga. Nienawidził jej i fascynowała go niczym jakaś Alexis z „Dynastii”. Chyba w skrytości serca kochał ją wiecznie niespełnioną, dziwną miłością, jaką może kochać człowiek nieśmiały i bojący się kobiet.

Popołudniami Waldka odwiedzał Heniek rzeźnik. Urobiony po łokcie od dekapitacji zwierząt i ćwiartowania zwłok. Sceny jak u Caravaggia. Jego nazwisko Heniek mógłby pomylić z włoskim salami. Rzeźnik zwykle przynosił ze sobą coś do wypicia. Razem z Heńkiem przyczłapywał jeszcze jego pies, Bąbel. Znudzony i liniejący kundel upasiony na odpadkach z rzeźniczego stołu. Przypominał przez to beczkę kolebiącą się na czterech długich łapach.

Większość dnia spędzał śpiąc niczym menel na stercie brudnych koców.

Wtedy Heniek zamaszystym ruchem stawiał flaszkę na obłazym stoliku upchniętym w kącie altany.

– Nie będziemy o suchym pysku siedzieć, przyjacielu drogi. Polej!

Waldek na ten znak wyciągał dwie upačkane brudnymi palcami szklanki, wprawnym ruchem napelniał je ciepłą wódką, po czym obaj wychylali szybkim ruchem zwartość tych upačkanych szklanek.

– Uu, ale zajzajer! Dobry! – zachryplym bardziej niż zwykle głosem wycedził Waldek, poczerwieniał na twarzy, a jego oczy zaszkliły się niczym na wspomnienie dawno zapomnianej miłości.

– Ma moc! Dostałem od Tadka. Nikt nie pędzi takiego bimbru jak on. Jak paliwo lotnicze! – odpowiedział Heniek i także jego twarz nabrała barwy sonej purpury.

– Mam jasne pełne z Biedry. Popchniemy jako utrwalacz – wymamrotał jeszcze na bezdechu Waldek, ale już z uśmiechem i mocno chemicznym posmakiem w ustach.

Bimber i piwo zagryzali kielbasą. Później, już podpici, fałszowali Budkę Suflera. Wraz z pierwszym chłodem nocy rozchodzili się do domów. Szli spać i spali ciężkim, pijackim snem.

Waldek ze wszystkich kobiet kochał tylko matkę. Przynosił jej polskie mięso (żadne tam niemieckie z zagranicznego supermarketu) od Heńka i włoszczyznę na rosół. Ona go z wdzięczności podejmowała przańnym obiadem ugotowanym według kupionej na poczcie książki *Sto przepisów siostry Klementyny*.

Szedł tak do matki z zakupami, przy każdej ręce z dziwaczną torbą, zwisającą u jego ramienia niczym ogromna moszna. Na dokładkę w prawej dłoni ścisnął pasek od nieodłącznej saszetki ze skaju. Wiadrami taszczył węgiel z piwnicy, wyprowadzał psa, zmieniał baterie



w pilocie od telewizora. Nastawionego zawsze na telewizję Trwam.

Jesienią Waldek popadał w dziwny rodzaj letargu. Jakby półsen po wypiciu zajzajeru od Heńka. Nocami nasłuchiwał radia, które szeptało mu do ucha groźby wybuchu trzeciej wojny światowej, zdrady zachodnich mocarstw i końca cywilizacji. Za dnia Waldek stawał się rozdrażniony, jeszcze więcej zlorzeczył na świat – że schodzi na psy, że już nie taki jak kiedyś, że ludzie źli. Dziś tylko komputery, smartfony i internety, i najważniejsze – pieniądze. Ogrodzeni wysokimi płotami w domach na kredyt. Miłości też już

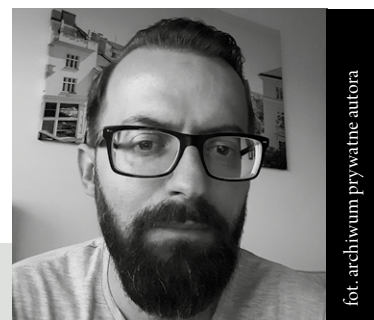
nie ma (i tu powróciło ciemne jak noc listopadowa wspomnienie nieudanego małżeństwa i zmarłej żony, której tak dawno już nie odwiedził na cmentarzu). Niepotrzebnie świat się zmienia, dobrze było jak było. A teraz powariowali wszyscy. Gdzieś się spieszą, nie wiadomo gdzie i za czym, a zapominają o wieczności, o Bogu. Nie pamiętają. Nie chcą pamiętać nawet twarzy swoich bliskich. Przez głowę przeleciało mu w tej chwili zamglone wspomnienie nieżyjącego od lat ojca. Odbicie w lustrze stojącego w łazience obcego mężczyzny. Zaraz po goleniu, upstrzonego kawaleczkami papieru toaletowego na poranionej od tępej żyletki twarzy. Twarz widział niewyraźnie. Tylko te strzępki papieru. Posmutniał jeszcze bardziej, zemdlilo go, od bimbru wymieszanego z jasnym pełnym czy od tych myśli, sam nie wiedział. Nie lepiej jest myśleć o żywych niż o umarłych? Oni odeszli, ich kościom nie przyda się nasza czułość, uśmiech i pamięć. Kości pozostaną obojętne. Zamknięte w ciemnym dole, przysypane zimną i moką ziemią.

Waldek jesienią wystawał bez celu przed kamienicą, niebo gęstniało, a deszcz zaczynał bębnić mu o plecy i gasił zmiętą peta, trzymanego niedbale w kąciku ust. Następnie deszcz zamienił się w śnieg i przylegał do jego

pleców wielkimi płatami. Przykrywał psie kupy i rozmokłe pety. Po chwili śnieg leżał już wszędzie wokół, mokry i ohydny. Tuż nad chodnikiem pochylała się czyszówka, jak przetrącona. Wyraźnie nadgryziona zębem czasu tkwiącym w szczęce jakiegoś olbrzyma. Z kamienicy wypełzał na chodnik jeźor schodów, a Waldek chwiał się na jednym z nich, jak nad krawędzią przepaści. Gdzieś w ciemności skrył się przed padającym śniegiem bury kocur i przypatrywał się teraz Waldkowi, błyskając w brudnym mroku zielonymi tęczówkami. Trzeba myśleć o żywych, a nie o umarłych. Myślami był więc teraz przy dawno już niewidzianej córce. Tlenionej blondynce o spojrzeniu pełnym spokoju i poczucia obowiązku. Mieszkała w białym domu za wielki kredyt w obcej walucie i pewnie miała syna imieniem Kuba lub córkę, Julkę. Czekala na powrót męża, co jako informatyk zarabiał na rodzinę i ten wielki dom na kredyt. Ona gotowała im dietetyczne obiady, piekla wegańskie ciasta, a sobie malowała paznokcie, robiła zakupy przez Internet i oglądała seriale. Latem piła mrożoną kawę na werandzie, odczytywała wiadomości na lótsapie, jesienią grabiła liście w ogrodzie, a zimą stroiła choinkę. Patrzyła na bawiące się obok dzieci łagodnym wzrokiem labradora.

## PRZEMYSŁAW WALCZAK

– urodzony w 1982 r., absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach i logistyki na Politechnice Wrocławskiej. Od kilkunastu lat mieszka i pracuje we Wrocławiu. W tym roku ukazał się jego debiut powieściowy *Wądoły*.



fot. archiwum prywatne autora